

To lubię!
Mariusz Kalandyk

Wiesiek

(wspomnienie o Wiesławie Setlaku)

Był zacny. Lubił zresztą to słowo. Zacność była dla niego synonimem wielu pozytywnych cech ludzkich. Mówił tak o tych, których zalety chciał szczególnie uwydatnić, umieścić ich w grupie osób po prostu dobrych: prostolinijnych i na biblijny sposób wpisujących się w ideę oddania sprawom ważnym, służącym ludziom; po to wymyślonym.

Był też niezależny i – antysystemowy. Miało to swoje bardzo dobre, ale i bardzo dwuznaczne skutki. Ci, co go znali, wiedzą, co mam na myśli. Zawsze osobny, robił po swojemu tak wiele rzeczy, by utrzymać się na powierzchni rwącego i bezlitosnego biegu zdarzeń, że ich przedziwne nagromadzenie, współistnienie – u niektórych budziło nieskrywany podziw, a u innych – poczucie czystej zgrozy.

Jak przez mgłę pamiętam go z czasów studenckich. Chłopaka mogącego mówić o literaturze bez przerwy, a o filozofii i sztuce – na okrągło. Było czasem w tym jego monologowaniu, bo lubił mono-

logi, coś niezmiernie ujmującego. Nie lubił jednak czystej abstrakcji, czystego teoretyzowania. Liczył się zawsze kontekst osobowy, personalne uwikłanie, obrys psychologiczny. Idea w jego ustach zawsze ożywała poprzez komentarz odwołujący się do konkretnego człowieka, jego wyborów i dziejów istnienia poszczególnego.

Potem zawieruszył się gdzieś; nic o nim nie wiedziałem. Pono podróżował, zwiedzał świat, uciekał od szarzyzny późnokomunistycznej Polski. Pracował tu i ówdzie, zajmował sztuką, pisywał; poznawał środowiska, nie tylko artystyczne, kilku europejskich krajów.

Polskę kapitalistyczną – tak przypuszczam – znosił z godnością, z trudem ukrywając zniecierpliwienie postępującą banalnością życia kulturowego i duchowego coraz większej rzeszy rodaków.

Czy swoje zniecierpliwienie leczył odrobiną cynizmu? Mam swoje powody, by tak sądzić. Nigdy jednak, przenigdy, nie był cyniczny na użytek

rzeczy ważnych, spraw rudymen-
tarnych, wartości nadrzędnych (tych lite-
rackich, naukowych i artystycznych).
Tu zawsze był pryncypialny.

Pracował ciężko, by utrzymać
siebie i rodzinę. Wiedział tak wiele
o tylu dziedzinach nauk wszelakich,
że budziło to nie tylko podziw, ale
i niedowierzenie. Był po prostu men-
talnym omnibusem; żarłoczność jego
umysłu, narzucona sobie dyscyplina,
systematyczność oraz smak przynosi-
ły owoce w postaci wielu doskonale
zaprojektowanych i przemyślanych
artykułów, recenzji oraz książek.

Pisywał także do nas: artykuły
i recenzje. Zawsze erudycyjne, wno-
szące nowe wątki, analizujące istotne
zjawiska pedagogiczne, socjologiczne
i teoretycznoliterackie. Skupione na
istotnych sprawach, opatrzone cieka-
wymi komentarzami i odnośnikami
poświadczającymi drobiazgową kwe-
rendę oraz świetne czytanie.

Przychodził do nas czasem na
kawę w drodze z Uniwersytetu do
domu; do Jasła. Z worem pożyczo-
nych lub kupionych książek. Był już
wtedy po poważnej operacji serca.
W nie najlepszej kondycji fizycznej
(mocno przytył). Wściekałem się
na niego, że za dużo dźwiga i nie
dba o siebie. Zbywał to (dla mnie
wręcz impertynencko) wzruszeniem
ramion i przechodził do innych te-
matów i wątków. Dźwigałem potem
to wszystko do autobusu i myślałem,

w jaki sposób dotrze do swojego
mieszkania.

Nie wierzyłem, że umarł. Myśla-
łem, że to jakaś pomyłka; głupi żart
(prawie nie znałem adresu, z którego
otrzymałem e-maila z informacją
o jego śmierci). O tym, że ma bardzo
ciężko chore serce, wiedziałem. Nie
lekceważyłem tego – widziałem ope-
racyjne ślady po zakładaniu bypassów
– ale nie dopuszczałem myśli, że jest
aż tak źle.

Stoi mi przed oczami. Pełen zapa-
łu, czasami euforycznej wręcz radości.
Bo znów wrócił z konferencji, spotkał
ważnych ludzi, rozmawiał o literatu-
rze, wymyślił nowy temat do artykułu,
wysłał nowy tekst do druku, przyniósł
nam jeszcze inny...

A teraz Go nie ma.

Mariusz Kalandyk